

Przeczytaj fragment

Część I · Syndrom milczenia

Sierp i młot, młot i sierp
To jest nasz radziecki herb.
Chcesz, to siej, a chcesz, to kuj.
Tak czy siak dostaniesz chuj.

– Bałeś się? – pytam.

– Nic a nic. Przecież ja umieram.

Wybucham śmiechem jak głupi, ale się nie obraża, bo wiele osób tak reaguje na stres. I ja czasem tak mam. Dla usprawiedliwienia dodam, że właśnie przypomniał mi się stary czeski czy też polski kawał o Pepiku Vondráčku, który, gdy rzecz szła o komunistach, mawiał: „A ja se nebojím, ja mam raka”.

A Iwan Iwanowicz ciężko chore serce i termin, to znaczy kilka tygodni, a może miesiące życia przed sobą. Tak mówią lekarze. Umiera, więc nie bał się jako jedyny i tak samo jak ja nie urzynał się jak nasi towarzysze. Nie wiedziałem, że powinienem był, że przede mną siedem najstraszniejszych minut w moim życiu, że będę się bał nawet bardziej niż tego dnia, kiedy w czasie pierwszej wojny czeczeńskiej Rosjanie brali miasto Szali, a ja nie zdążyłem zwać z cywilami.

Skąd wiem, że to tylko siedem minut? Bo włączyłem dyktafon, kiedy wsiadałem na naszą maleńką łódeczkę. On mierzy długość nagrania. Wyłączyłem go na drugim brzegu. Teraz słyszę, że wszyscy milczeli jak zakłęci, kiedy niesione prądem zwały lodu z przeraźliwym hurgotem napierały na metalowe burty, silnik wył jak opętany na najwyższych obrotach, a ja pękałem ze śmiechu.

Tak wyglądała nasza przeprawa przez potężną syberyjską rzekę Ałdan w ostatnich dniach października zeszłego roku. Ale dlaczego ja o tym opowiadam? Ano dlatego że wydaje mi się, że trzeba mieć raka, ciężko chore serce albo głowę, żeby tu żyć. Nie mieć naprawdę nic do stracenia albo innego wyjścia, żeby osiedlić się na biegunie okrucieństwa. Tak ludzie mówią i piszą o Kołymie. Innym razem mówią o największym

koszmarze dwudziestego wieku, najstraszniejszej, przeklętej albo najdalszej wyspie Archipelagu Gułag, jego lutym biegunie, ruskiej Gulgocie, białym krematorium, arktycznym piekle, mroźnym obozie bez pieców, czy też, nie przymierzając, machinie do przemysłowego mielenia mięsa i kruszenia kości. A wiecie, że ludzkie mięso w smaku podobno jest takie samo jak reniferowe – bardzo delikatne, chude i lekko słodkie? Nie wiem, skąd miejscowi to wiedzą. Domyślam się, że to opinia przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mówi się, że połowa obecnych mieszkańców Kołymy to potomkowie zeków, byłych więźniów łagrów. Drugie albo trzecie pokolenie. Zek (w radzieckich dokumentach zapisywane jako z/k) to skrót od słowa zakluczonnij – zamknięty, więzień po prostu. Kiedy uciekali z obozów, niekiedy brali ze sobą w tajgę słabszego kolegę. To były „ucieczki z kanapką” albo „z krową”, która sama podążała za kimś, kto wreszcie ją zjadał.

Ale wracając do mięsa: to pewnie z powodu podobieństwa smaków miejscowe niedźwiedzie są tak piekielnie niebezpieczne. Renifery to ich przysmak, a człowiek to dla nich renifer, który nie potrafi biegać, ofiara bez rogów, zwyczajny pierdoła, łatwa zdobycz. Raz taki miszka popróbuj człowieka i się rozsmakuje. Już mu się nie będzie chciało uganiać po górach za reniferami i łosiami, nie będzie zbierał jagód, borówek i jarzębiny, wypuszczał się na grzyby i do śmietników. Będzie trzymał się Traktu Kołymskiego, osiedli ludzkich, obozowisk poszukiwaczy złota. Ileż ja historii o nich słyszałem! Choćby o górniku z Susumanu, który stał na drodze, bo złapał gumę, a kiedy zobaczył niedźwiedzia, zamknął się w samochodzie. Zwierzak jak szajbus rozpruł blachę na dachu i wyciągnął swoją ofiarę jak świńską tuszonkę z puszki. Takie niedźwiedzie nazywają szatunami. To po rosyjsku znaczy „włóczęga”, ale na Kołymie to słowo jest zarezerwowane tylko dla niedźwiedzi szaleńców, ludojadów. W ostatniej dekadzie najgłośniej było o szatunie, który wiele lat grasował wzdłuż Traktu Kołymskiego w Górach Wierchojańskich.

Ogromny jak czołg samiec, prawdziwy potwór, żywa machina. Był znaczny, bo chodził ze stalową pętlą na szyi. Na Kołymie na niedźwiedzie stawiają wnyki i ten nasz przed laty wpadł w takie. Myśliwi przyszli po kilku dniach. To był ojciec i dwaj jego synowie. Niedźwiedź wisiał na pętli w ogromnym dole, który wyrył pazurami, walcząc desperacko o wolność. Żył jeszcze. Myśliwi usiedli i zapalili. Z przyjemnością gapili się na konwulsje zwierzaka. Smakowali jego męczarnie.

Potem rozpalili ognisko, postawili w kociołku wodę na herbatę, pojedli suszonej ryby. Wreszcie stary powiedział do synów, żeby podali mu karabin.

Z kilku kroków wymierzył w kark olbrzyma i strzelił.

Trafił w stalową pętlę, którą zwierzak przydrutowany był do drzewa. Niedźwiedź rozerwał go na strzępy, potem dopadł tego, który podał ojcu karabin. Tak został szatunem. Drugiemu chłopakowi udało się uciec.

Wiele lat wierchojański szatun polował na ludzi, a ludzie na niego. Nawet za pomocą śmigłowców. – Ja spotkałem go przy Ruczaju Szamana – opowiada Jura. – Wyszedłem z szoferki, żeby ze źródła nabrać wody na herbatę, ale po drodze na chwilę wlałem na beczkę, żeby przed nocą sprawdzić, czy pokrywy dobrze zamknięte. Już chciałem skoczyć na dół, kiedy w ostatniej chwili zobaczyłem, że tam na mnie czeka. Pojawił się nagle i cicho jak duch. Od razu go poznałem. Jadę z Jurą jego kamazem cysterną z Ust-Nery do Chandygi.

To najtrudniejszy, najbardziej odludny, najmniej uczęszczany odcinek Traktu Kołymskiego. Mój szoferak jak zawsze zatrzymuje się na noc przy Ruczaju Szamana na 1459. kilometrze Traktu w Górach Wierchojańskich. – Koniec kwietnia – opowiada dalej Jura i nalewa do kubków wódki – w nocy temperatury spadają do kilkunastu stopni poniżej zera, a ja w jednym sweterku, bez rękawic i czapki, no bo po tę wodę wyskoczyłem tylko na chwilę. Przechodzę na szoferkę i z dachu próbuję sięgnąć do klamki, żeby od góry wślizgnąć się do środka, ale on tylko na to czeka, staje na tylnych łapach i stara się mnie złapać. Jest ogromny, bez trudu dosięga do krawędzi dachu. Dobrze wie, że wcześniej czy później będę musiał zejść.

Jura znajduje w kieszeni zapalniczkę, podpała plastikową butelkę na wodę, ale ten niedźwiedź nie boi się nawet ognia.

Prawdziwy diabeł, nie zwierzak! Dopiero zbudził się z zimowego snu, jest więc wściekle głodny. Całą noc krąży wokół ciężarówki i czeka, aż człowiek zamarznie i spadnie w jego łapy. Ma czas, bo na tym odcinku Traktu pojawia się najwyżej kilka samochodów na dobę, ale na pewno nie w nocy.

Dziesięć godzin Jura skacze po dachu swojego kamaza, robi przysiady, pompki, boksuje się z cieniem, ale wreszcie opada z sił i zasypia na mrozie. Od śmierci ratuje go przeraźliwy ryk klaksonu. Widzi potężną ciężarówkę KrAZ, której kierowca próbuje rozjechać niedźwiedzia, ale drapieznik jest zwinniejszy. Unika zgrabnie zderzaka, więc wybawca zestawia samochody burtami, a Jurij przez jego dach wślizguje się do ciepłej szoferki.

Samochód całą noc stał z włączonym silnikiem.

– Ale ręce odmroziłem – mówi i daje mi pustą butelkę. – Na mrozie zawsze zaczynają boleć.

– Jeśli myślisz, że pójde po wodę, to jesteś w błędzie.

– Daj spokój! Dwa lata temu podobno go odstrzelili. Mówią, że trzymaście osób miał na sumieniu.

Każdego wieczoru mojej podróży prowadzę Dziennik kołymski, który razem ze zdjęciami w skróconej formie staram się wysyłać codziennie na portal Wyborcza.pl. Jest tam do dzisiaj, trzeba tylko powiedzieć komputerowi, że chodzi o Dziennik kołymski. Cofnijmy się zatem cztery tygodnie, jak Pan Bóg przykazał, do początku podróży, do soboty 18 września 2010 roku.

Dzień I

Magadan nad Morzem Ochockim

To stolica Kołymy, o której jest już w pierwszym akapicie Archipelagu Gułag, monumentalnej księdze Aleksandra Sołżenicyna. Ale u mnie nie będzie o Gułagu, obozach, więźniach, głodzie, śmierci, torturach.

Z Magadanu mam ruszyć na Trakt Kołymski, czasem zwany Magistralą Kołymską, a w rosyjskim atlasie samochodowym – federalną drogą Kołyma. Miejscowi najczęściej mówią jednak krótko – Trasa. To jedyna droga na tym ogromnym terytorium, równym – przed licznymi zmianami administracyjnymi – trzeciej części całej Europy. Innymi słowy, to osiem i pół Polski i tylko 2025 kilometrów drogi (z kilkoma małymi odgałęzieniami), która łączy Magadan z miastem Jakuck w Jakucji. Chcę przebyć tę drogę. To całkowicie niedostępny, dziki, albo raczej zdziczały kraj (trochę jak nasze Bieszczady po drugiej wojnie), z siedzibami ludzkimi co kilkadziesiąt, a czasem kilkaset kilometrów. Góry. One martwią mnie najbardziej. Bo całkiem białe. Z okien samolotu, którym przylatuję z Moskwy, widzę, że dalej od morza, w głębi Kołymy regularna zima. Przychodzi wcześniej tego roku. To źle. Bardzo niedobrze! Powinna poczekać jeszcze parę tygodni. Może być wielki problem na przełęczach i rzekach, bo wiele trzeba pokonać w bród i na promach. Kiedy woda zaczyna zamarzać, wali kra, promy przestają chodzić i trzeba czekać prawie do grudnia, żeby jechać dalej zimnikami, po lodzie. Jedyny sposób pokonania tej trasy to autostop. Jazda solidnymi ale topornymi ciężarówkami rosyjskiej produkcji: kamazami, uralami

i krazami, zwanymi potocznie błotochodami. Białoruskie liazy też się tu sprawdzają.

Starzy ludzie mówią, że ta droga to najdłuższy cmentarz świata. Policzyłem, że gdyby wszystkie ofiary kołymskich łagrów epoki Stalina położyć jedna za drugą, toby się na niej nie zmieściły. Policzmy jeszcze raz. 2025 kilometrów to ponad dwa miliony metrów. Dzielać przez metr i osiemdziesiąt centymetrów wychodzi milion sto tysięcy chłopów. I dziewczyn. Że wtedy ludzie tacy nie rośli? Zależy kto. Łotysze, Estończycy jak na tamte czasy, to chłopcy jak byki, Japończycy, Kałmucy, Tatarzy, i kobiety – dużo niżsi. Nawet gdybym dzielił przez metr i siedemdziesiąt centymetrów, ta liczba zmieniałaby się dopiero w drugim miejscu po przecinku. Kołyma i tak zabrała pewnie więcej niż milion sto czy dwieście tysięcy istnień ludzkich.

Problem w tym, że nikt nie wie ile. Gdyby zrachować wszystkie morskie transporty z ludźmi od wiosny 1932 do lata 1956 roku, wyszłoby nam, że na Kołymę przywieziono ponad dwa miliony więźniów.

Profesor Dawid Semionowicz Rajzman, szef katedry nauk humanistycznych Magadańskiego Instytutu Ekonomii, przez okno swojego gabinetu na ulicy Proletariackiej, na ukos przez skrzyżowanie z prospektem Lenina pokazuje dawny areшт śledczy NKWD zamieniony na archiwum bezpieki. Akta więźniów leżą tam jak oni kiedyś – w celach,

na piętrowych zekowskich narach (pryczach). Potem profesor kieruje palec bardziej na północ i pokazuje wielkie rondo za rzeczką Magadanką z przystankiem autobusowym o nazwie 31.

Kwartał, gdzie od 1940 roku był obóz tranzytowy dla trzech tysięcy polskich żołnierzy

wziętych do sowieckiej niewoli rok wcześniej. Stąd grupami byli wysyłani do różnych docelowych łagrów, głównie przy kopalniach złota na całej Kołymie. Ile więc było tych ofiar? Anne Applebaum, arcykrupulatna dziennikarka

„Washington Post”, w swojej książce Gułag (Gułag albo GUŁag to skrót od Głównoje Uprawlenije Isprawitielno-Trudowych Łagieriej i Kołonij – Zarząd Główny Poprawczych Obozów Pracy), za którą w 2004 roku dostała nagrodę Pulitzera, pisze o 28,7 milionach przymusowych robotników w Związku Radzieckim, z których według dostępnych już dziś, ale, jej zdaniem, bardzo, bardzo niekompletnych archiwaliów, 2 749 163 oddało życie. Z tego by wynikało, że „współczynnik śmiertelności” w łagrach wynosił dziesięć procent.

Tak zwana „pojemność” 160 obozów Kołymy to dwieście tysięcy ludzi (tyle jednorazowo mogło w nich przebywać). To byli ludzie, których władza radziecka wysłała na daleką Północ na zatracenie i już nigdy nie chciała ich oglądać. Mieli tam wyginąć. Pierwszą zimę z 1932 na 1933 rok przeżył co piąty łagiernik. Komu kończył się wyrok, pod byle pretekstem dostawał następny i wracał w zaboje, na wyrobisko, na przodek w swojej kopalni złota albo zostawał przesiedziałym, czyli więźniem, który po odsiedzeniu swojego terminu, swojej pajdy nie był zwalniany z łagru na przykład aż do końca wojny, chociaż nie było nawet jednego ekonomicznego powodu, żeby tam był. Każdą wykonywaną przez więźniów pracę ludzie wolni mogli wykonać taniej i lepiej. Osobliwe, że po rosyjsku słowo „zabój” znaczy także – „ubój” (w sensie bydła, trzody chlewnej). Tak oto NKWD starało się połączyć ze sobą dwa sprzeczne zamierzenia: jak największego wydobycia złota z jak najszybszą eksterminacją ludzi uznanych przez bolszewików za wrogów.

Generał Władysław Anders w książce Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939–1946 pisze, że według jego ustaleń w latach 1940–1941 na Kołymę trafiło ponad dziesięć tysięcy polskich obywateli.

Wśród nich bez wątpienia były owe trzy tysiące jeńców wojennych, o których wspominał profesor Dawid Rajzman z Magadanu. Kiedy generał tworzył swoją armię, Rosjanie zwolnili z kołymskich łagrów 583 osoby. Tylu Polakom udało się tam przeżyć dwa lata, dwie straszne zimy z lat 1941 i 1942. Wśród nich był Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Najbardziej według mnie wiarygodny wskaźnik śmiertelności na Kołymie to jedyna 171-osobowa grupa byłych łagierników, która dotarła stamtąd do tworzącej się polskiej armii. To byli pozostali przy życiu polscy żołnierze z kampanii wrześniowej. Prawie wszyscy mieli amputowane po odmrożeniach palce u rąk i nóg. Oto najprawdziwszy wskaźnik śmiertelności! 171 osób z trzech tysięcy! 88,6 procent.

Ale o tym w moich opowieściach nie będzie prawie nic! O tamtych czasach. Jeśli pójdę do tych ostatnich, co żyją, to z chytrości, by tego nie stracić, bo to ostatnia chwila, żeby zapisać, co było im dane przeżyć, doświadczyć. Bo to ludzie wyjątkowi – oni widzieli dno życia, w łagrze przeszli granicę, poza którą rozpada się wszelka dusza. Ale najbardziej będę chciał usłyszeć, co było później, jak z takim doświadczeniem żyć. Jak oni żyli?

Jadę na Kołymę, żeby zobaczyć, jak się żyje w takim miejscu, na takim cmentarzu. Najdłuższym. Można się tu kochać, śmiać, krzyczeć z radości? A jak tu się płacze, płodzi i wychowuje dzieci, zarabia, pije wódkę, umiera? O tym chcę pisać. I o tym, co tu jedzą, jak płuczą złoto, pieką chleb, modlą się, leczą, marzą, walczą, tłuką po mordach...

Gdy ląduję, w aeroporcie pod Magadanem czytam wielki napis:
WITAJCIE NA KOŁYMIE – W ŻŁOTYM SERCU ROSJI.
(...)